



Tłumaczenie nieoficjalne [wykidajlo](#)

## POCZĄTEK

Jestem RAZIEL, jeden z dwudziestu upadłych aniołów, o których mówił Henoch w starych księgach. Razem z innymi upadłymi żyję w ukrytym świecie Sheol. Nikt nie ma pojęcia o naszym istnieniu i egzystujemy w ten sposób od czasu upadku, który miał miejsce tysiąclecia temu.

Powinienem był wiedzieć, że na horyzoncie pojawiły się kłopoty. Mogłem wyczuć je w swojej krwi, bo nie ma niczego potężniejszego niż krew. Ale nauczyłem się ignorować to uczucie w tym samym czasie, w którym nauczyłem się ignorować wszystko, co sprzysięgło się by mnie zdradzić.

Gdybym go słuchał, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej.

Tego dnia wstałem i w słabym świetle wczesnego poranka rozpostarłem skrzydła. Nadchodziła burza; czułem jej pulsowanie w swoich żyłach, głęboko w kościach. W tym momencie ocean był spokojny, nadchodził przypływ i gruba, ciepła mgła okrywała wszystko opiekuńczymi objęciami, ale gwałtowność natury wisiała w ciężkim powietrzu.

Natury? Czy Uriela?

Znowu spałem na zewnątrz. Zasnąłem w jednym z drewnianych krzeseł, opiekując się butelką Jacka Daniela. To była jedna z moich stałych przyjemności, od jakiegoś wieku albo coś koło. Zbyt wielu było tych Jacków, jeśli mam być szczery. Nie pragnąłem nadejścia tego dnia, ale trudno się temu dziwić, w końcu nie byłem przecież fanem poranków.

To był tylko kolejny dzień na wygnaniu, bez żadnej nadziei ... na co? Ucieczkę?

Powrót? Nigdy nie mogłem wrócić. Widziałem zbyt dużo, zbyt wiele uczyniłem. Byłem uwiązany tu, jak inni. Przez wiele lat. Tyle lat, że przestały mieć znaczenie. Zgubiony w mrokach dziejów, żyłem samotnie na tej ziemi na mocy klątwy, która nigdy nie zostanie zniesiona.

Istnienie było łatwiejsze kiedy miałem towarzyszkę. Ale straciłem ich zbyt wiele przez minione przez lata, ból i miłość były po prostu częścią naszego przekleństwa. Tak długo jak byłem powściągliwy, mogłem pozbawić Uriela tego jednego ze sposobów, którym mógł mnie torturować. Celibat był tego niewielką ceną i byłem gotów ją zapłacić.

Odkryłem, że im dłużej obywałem się bez seksu, tym spokojniej to znosiłem i wystarczały mi sporadyczne fizyczne kontakty. Aż do czasu, kiedy parę dni temu, pragnienie kobiety niespodziewanie zaczęło ryczeć we mnie z ogromną siłą, najpierw tylko w moich niepokornych snach, później również na jawie. Nic, co robiłem nie pozwalało mi zapomnieć o tym uczuciu... gorącym, rozpalonym głodzie, którego nigdy nie mogłem zaspokoić.

Przynajmniej wtedy, kiedy wszystkie kobiety wokół mnie były związane. Mój głód nie był na tyle silny, żebym przekroczył tę granicę...mogłem patrzeć na żony moich towarzyszy, czyste i piękne i nic nie czułem. Potrzebowałem kogoś, kto istniał tylko w moich snach.

A dopóki tam pozostawała, mogłem skoncentrować się na innych sprawach. Złożyłem z powrotem swoje skrzydła i sięgnąłem po koszulę. Pomimo, że tego nie znosiłem, musiałem dziś iść do pracy. To była moja kolej i jedyny sposób na chwilowe odprężenie. Tak długo jak postępowaliśmy zgodnie z poleceniami Uriela, panował kruchy spokój.

Ja i drugi upadły musieliśmy poprowadzić kolejne dusze ku ich przeznaczeniu.

Wezwał nas strzegący bram niebios...Uriel.

Tym właśnie jesteśmy. Przewodnikami dusz zmarłych, żywiącymi się krwią,, skazanymi na wieczne życie...upadłymi aniołami.

Kiedy słońce weszło ponad górami, powoli ruszyłem w stronę ogromnego domu. Położyłem swoją rękę na żeliwnej kłamce i przystanąłem na chwilę, odwracając się by popatrzeć na ocean, wrzące, słone morze, które wzywało mnie, jak pewna tajemnicza, niebezpiecznie kusząca kobieta, która stale nawiedzała moje sny.

To był moment, w którym ktoś miał umrzeć.

*Jam jest URIEL, najwyższy archanioł, który nigdy nie upadł, nigdy nie zawiódł, który w imieniu okrutnego majestatu **Pana**, karze grzeszników, zamienia w gruz i pył miasta w których mieszkają ci, którzy się **Jemu** sprzeciwili, a ciekawskie kobiety zmienia w słupy soli. Jam jest **Jego** najbardziej zaufanym sługą, **Jego** wysłannikiem, głosem na pustkowiu, **Jego** dzierżącą miecz dłonią. Jeśli zajdzie taka potrzeba, żywym ogniem wypalę ten brudny, nikczemny świat i zacznę wszystko od początku. Wypalę bożym biczem wszystko, po czym sprowadzę potop i ponownie zaludnię ziemię.*

*Nie jestem Bogiem.*

*Jestem jedynie przez **Niego** wyznaczony, do tego by zagwarantować, że **Jego** przykazania są przestrzegane. Więc czuwam.*

***Najwyższy** jest nieomylny, gdyby nie to, musiałbym myśleć, że osądzenie Upadłych było jego największą omyłką i zmieść ich w proch. Zostali przeklęci i skazani na wieczne męki, a mimo to do tej pory jeszcze nie cierpieli. Było wolą **Boga**, że przeżyją swoją niekończącą się egzystencję w podły sposób i nie zaznają radości.*

*Jednak jakoś, pomimo rzuconej na nich czarnej klątwy, oni wciąż znajdowali szczęście.*

*Ale prędzej czy później, posuną się za daleko. I dołączą do Pierwszego, Niosącego Światło...Rebela, w bezdennych czeluściach ziemi, do końca świata uwięzieni w samotność i ciszy.*

*Jam jest Uriel. Żałujcie za grzechy i strzeżcie się mojego gniewu.*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Byłam spóźniona, co nie był żadnym zaskoczeniem. Zawsze musiałam gdzieś się spieszyć...tym razem było to spotkanie z moimi wydawcami w połowie drogi na Manhattan. Miałam również zrobić wpłatę przed końcem dniówki. Moje wysokie obcasy mnie zabijały i byłam tak głodna, że mogłabym zacząć zjeść szkło i metalowe biurko, przy którym pracowałam dorywczo dla Pitt Fundament.

Musiałam załatwić mnóstwo spraw... a nie mogłam tego ogarnąć. Ludzie którzy znali moją tendencję do wiecznego spóźniania się; na przykład sekretarka MacSimmons Publishers byli na tyle rozsądni, żeby planować moje spotkania, a następnie powiadamiać mnie, że zaczynają się pół godziny wcześniej niż w rzeczywistości. To była gierka, w którą ostatnio graliśmy...ale niestety odkąd poznałam jej zasady, przybywałam zazwyczaj godzinę później, rujnując ich sprytne przygotowania.

Tym gorzej dla nich.

Mogli próbować pracować nade mną...byłam niezawodna we wszystkich innych sprawach. Nigdy nie spóźniłam się z rękopisem i moja praca rzadko potrzebowała więcej niż minimalnej korekty. Mieli szczęście, że mnie mieli, nawet jeśli powieści

kryminalne z biblijnymi wątkami nie były dużym przebojem rynkowym, szczególnie jeśli pisane były pisane w ostrym, pikantnym stylu. „Truciciel Salomona” przyniósł jeszcze większy zysk niż poprzednie książki. Oczywiście, musisz spojrzeć na to we właściwej perspektywie. Agatą Christie to ja nie byłam. Jeśli jednak nie zarabialiby na mnie, to nie kupowałiby moich powieści, więc nie zamierzałam się tym martwić.

Właśnie miałam dość czasu, żeby zdążyć do banku, a nawet mogłam nadłożyć trochę drogi i złapać hot doga od ulicznego sprzedawcy, ale nie było żadnego cholernego sposobu, który mógłby sprawić żeby moje durne buty stały się wygodniejsze.

Próżność...powiedziałyby moja, kierująca się sztywnymi zasadami, matka...nie żeby kiedykolwiek opuściła swoją twierdzę w Idaho, gdzie ponoć odrodziła się duchowo, by mnie zobaczyć. Hildegarda Watson nie ufała nikomu i niczemu. Zamknęła się w komunie, w której mieszkali tacy sami jak ona fundamentalistyczni dziwacy i nawet jej własna, grzeszna córka nie była tam mile widziana.

I Bogu za to dziękuję!

Nie potrzebowałam matki, żeby mi mówiła jaka jestem płytka.

Sama doskonale o tym wiem.

Cztero-calowe (ponad 10 cm) obcasy sprawiają, że moje nogi wyglądają fantastyczne i ten fakt był warty zniesienia każdego bólu. Oprócz tego, dodawały nieco do mojego mizernego wzrostu pięciu stóp i trzech cali (około 160cm), co było zaletą jeśli się pracuje z hałaśliwymi mężczyznami w średnim wieku, którzy lubili traktować mnie jak słodką małą dziewczynkę.

Jednakże, te cholerne szpilki rypały mnie jak szalone, a nie byłam wystarczająco inteligentna, żeby zostawić sobie w pracy drugą, wygodniejszą parę butów.

Kuśtykałam więc przez cały dzień i nawet plaster z opatrunkiem nie zdołał pomóc moim biednym, poranionym stopom.

Współczułym sobie, gdybym nie męczyła się ze swojej własnej winy. Wcześniej dowiedziałam się, że najlepszym sposobem żeby coś w życiu osiągnąć, to zacisnąć zęby i walczyć, by przejść przez wszystko z największą gracją, na jaką mogłam się zdobyć, nosząc te cholerne buty, które kosztowały mnie prawie sto osiemdziesiąt dolarów...po obniżce, jakby ta koszmarna cena mogła sprawić, że staną się wygodniejsze.

Ponadto był piątek...i miałam zamiar spędzić weekend ze stopami w górze, pracując nad moją najnowszą książką „Zemsta Ruth.” Do poniedziałku pęcherze już by się trochę zaleczyły, a nawet jeśli musiałabym je znosić jeszcze ze dwa dni dłużej, to trudno, byłam do tego przyzwyczajona. Piękno warte było bólu, choćby moja matka nie wiem co mówiła na ten temat.

Może kiedyś uda mi się utrzymać się ze swojego pisania i nie będę musiała brać dodatkowej pracy. Drażniące kryminałki zasadzające się na burzeniu dogmatów Starego Testament nie były dobrym sposobem na zrobienie kokosów, wyłączając sporadyczne sukcesy thrillerów traktujących o tajemnicach Watykanu. Na dzień dzisiejszy, nie miałam innego wyboru, jak tylko uzupełniać mój mizerny dochód, co czyniło moje weekendy jeszcze cenniejszymi.

- Czy nie powinnaś już iść, Allie? - Elena, moja przepracowana kierowniczka rzuciła mi wymowne spojrzenie. - Jeśli zaraz nie wyjdiesz, nie będziesz miała czasu, żeby zajść do banku.

Chrzanienie.

Pracuję tu niecałe dwa miesiące i już Elena zaszufładowała mnie jako kogoś kto

chronicznie się spóźnia.

- Dzisiaj już nie wracam - zawołałam, kuśtykając w kierunku windy. Elena z roztargnieniem machnęła mi ręką na pożegnanie, i moment później byłam sama w windzie, ruszając w dół z sześćdziesiątego-czwartego piętra.

Mogłam zaryzykować zdjęcie butów, dla kilku chwil zbawiennej ulgi, ale z moim szczęściem ktoś zaraz by do mnie dołączył i musiałbym je znowu nakładać. Oparłam się o ścianę, próbując przenosić wagę swojego ciała z jednej stopy na drugą. Mam świetne nogi, powiedziałam do siebie.

Kiedy byłam na górze jaskrawo świeciło słońce. Ale w momencie gdy, przeszłam przez hol i wyszłam przez uruchamiane fotokomórką drzwi, usłyszałam ogłuszający huk grzmotu. Spojrzałam w górę i zobaczyłam kłębiące się w górze ciemne chmury. Burza wydawała się pojawić nie wiadomo skąd.

To było chłodne październikowe popołudnie, zaledwie kilka dni dzieliło nas od Wszystkich Świętych. Chodniki były jak zwykle zatłoczone, a bank mieścił się po drugiej stronie ulicy. Zawsze mogę jednocześnie iść i jeść hot doga, pomyślałam, podążając w kierunku straganu, który serwował mój wykwintny lunch. Dość często tak robiłam.

Z moim szczęściem oczywiście musiała tam być kolejka. Nerwowo przestępowałam z nogi na nogę, aż odwrócił się stojący przede mną człowiek.

Mieszkałam w Nowym Jorku wystarczająco długo, żeby nabrać zwyczaju nie przyglądania się ludziom na na ulicy. Tu większość kobiet była wyższa, szczuplejsza, i lepiej ubrana niż ja i oczywiście nie posiadały one takiego poczucia niższości. Nigdy z nikim nie spotkałam się spojrzeniem, nawet z Harveyem człowiekiem od hot dogów, który obsługiwał mnie codziennie przez ostatnie dwa miesiące.



Więc dlaczego spojrzałam w górę, prosto w parę oczu, które były...

Boże, cóż to był za kolor? Przedziwny odcień pomiędzy czernią a szarością, z wtopionymi świetlistymi promykami, które wyglądały prawie jak srebrne.

Prawdopodobnie zrobiłam z siebie idiotkę, ale nie mogłam oderwać od niego wzroku. Nigdy w swoim życiu nie widziałam oczu w tym kolorze, chociaż to nie powinno być dla mnie zaskoczeniem, ponieważ do tej chwili przeważnie unikałam patrzenia ludziom w oczy.

Ale jeszcze bardziej zadziwiające było to, że te oczy patrzyły na mnie z życzliwością. Piękne oczy w pięknej twarzy, co zauważyłam poniewczasie. Nigdy nie lubiłam zbyt atrakcyjnych mężczyzn, a i to określenie było zbyt łagodne jeśli chodziło o tego człowieka, który patrząc na mnie musiał nisko opuszczać głowę, pomimo moich cztero-calowych obcasów.

Był przystojny prawie jak anioł, z wydatnymi kośćmi policzkowymi, wyrazistym nosem i przetykanymi brązowymi pasemkami, złotymi włosami. To był dokładnie ten płowy cień, który z żałośnie krótkim rezultatem, ciągle próbowałam osiągnąć u swojego fryzjera.

- Kto robi ci włosy? - Wypaliłam, próbując strącić go z piedestału.

- Jestem taki jakim stworzył mnie Bóg - powiedział, a jego głos był tak samo piękny jak twarz. Niski i melodyjny, tego rodzaj głosu mógłby uwieść świętego. - Z kilkoma modyfikacjami - dodał, z cierpkim, cynicznym poczuciem humoru, którego nie mogłam zrozumieć.

Jego doskonałe włosy były...za długie, nie cierpiałem długich włosów u mężczyzn. Ale on doskonale w nich wyglądał, tak samo jak w ciemnej, skórzanej kurtce,

czarnych dżinsach i ciemnej koszuli.

Niezbyt odpowiedni strój jak na to miasto, pomyślałam, na siłę próbując wywołać w sobie dezaprobatę, ponieważ tak cholernie dobrze wyglądał.

Ponieważ, chyba ci się nie śpieszy, to może mógłbyś wpuścić mnie przed siebie? Następny grzmot, rozbrzmiał echem zwielokrotnionym przez otaczające nas kaniony z betonu i stali, wzdrygnęłam się. Burze w mieście mnie denerwowały ... zawsze wydawało się, że były tuż obok. Zdawało się jakby wijące się w dół między wysokimi budynkami pioruny, łatwiej mogły namierzyć cel.

Mężczyzna nawet nie mrugnął. Rzucił okiem na drugą stronę ulicy, jakby coś obliczał. - Już prawie trzecia - powiedział. - Jeśli chcesz żeby twoja wpłata dziś poszła, będziesz musiała odpuścić sobie tego hot doga.

Zamarłam. - Jaką wpłata? Zapytałam czując kompletną paranoję.

Boże, co ja najlepszego robiłam, wdając się w rozmowę z całkiem obcym człowiekiem? Nigdy nie powinnam była zwracać na niego jakiegokolwiek uwagi. Mogłam obejść się bez hot doga.

- Masz torbę na bankowe depozyty - powiedział spokojnie.

Och. Tak. Zaśmiałam się nerwowo. Powinnam wstydzić się swojej paranoi, ale z jakiegoś powodu nawet nie zaczęła się ona rozpraszać. Pozwoliłam sobie na następne ukradkowe spojrzenie na nieznajomego.

Do diabła z z hot dogiem...w tej chwili moim najlepszym posunięciem była ucieczka od tego zbyt atrakcyjnego faceta, wpłata depozytu, i nadzieja, że Bóg pozwoli mi złapać taksówkę, która przewiezie mnie przez całe miasto na miejsce mojego spotkania. Już miałam dziesięć minut opóźnienia.

Wciąż na mnie patrzył. - Wszystko w porządku? - Zapytałam. Rozległ się następny grzmot i lunęło jak z cebra.

Miałam na sobie czerwoną, jedwabną garsonkę od Saksa, na którą tak naprawdę nie mogłam sobie pozwolić. Próżność zwyciężyła jeszcze raz. Nie oglądając się za siebie wybiegłam, na w tym momencie opustoszałą, ulicę.

To zdarzyło się jakby w zwolnionym tempie, a trwało przez jedno mgnienie oka. J Złamał się jeden z moich obcasów i skręciłam kostkę. Nagła ulewa splukwała brud z ulic tworząc rzekę śmieci. Pośliznęłam się, przyklęknęłam na jedno kolano, i mogłam poczuć jak moje pończochy drą się w strzępy, jak rozdziera się moja spódnica, a starannie ułożone włosy mokrymi strąkami oblepiają moją twarz i uszy.

Spojrzałam w górę, i on tam był, ogromny autobus jadący wprost na mnie. Zabrzmiał następny grzmot, a po nim oślepiająca błyskawica rozerwała niebo i nagle wszystko stało się spokojne i ciche.

Jednak tylko na moment.

Potem była jedna rozmyta plama rozpętała hałasu i działania. Mogłam usłyszeć ludzkie krzyki, i ku mojemu zdziwieniu w powietrzu jak jesienne liście porwane przez wiatr, unosiły się banknoty, wirowały opadając w dół w ulewnym deszczu. Autobus zatrzymał się, stojąc na ukos po drugiej stronie ulicy, samochody trąbiły, ludzie przeklinali, a w oddali mogłam usłyszeć wycie syren. Cholernie szybka reakcja jak na Nowy Jork, pomyślałam z roztargnieniem.

Mężczyzna stał przy mnie...pan wspaniały spod straganu z hot dogami. Ze stoickim spokojem i na luzie, kończył właśnie hot doga z chili. Przypomniałam sobie, że ja też jestem strasznie głodna. Jeśli już zostałam zatrzymana przez ten wypadek

autobusowy, to równie dobrze też mogę sobie przekąsić sobie hot doga z chili. Gdyby nie jakiś dziwna niechęć, żeby się odwrócić.

- Co się stało? - zapytałam. Był wystarczająco wysoki, by coś zobaczyć ponad tłumem ludzi skupionych wokół przodu autobusu. - Czy ktoś jest ranny?

- Tak - powiedział tym swoim głębokim, rozkosznym głosem. - Ktoś zginął.

Przepełniona ciekawością ruszyłam w kierunku tłumu, ale chwycił moje ramię.

- Ty wcale nie chcesz tam iść - powiedział. Nie ma potrzeby przez to przechodzić.

Przechodzić przez co? Pomyślałam zdenerwowana, wpatrując się w tłum. Znowu spojrzałam na nieznanego i odniosłam dziwne wrażenie, że stał się wyższy. Nagle zdałam sobie sprawę, że już nie bolą mnie stopy i spuściłam wzrok. To było dziwne, dezorientujące uczucie. Byłam boso, a gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, powiedziałabym, że pod moimi stopami była bujna, zielona trawa.

Znowu zwróciłam wzrok ku rozgrywającej się przede mną, oblewanej strugami deszczu scenie wypadku, a czas wydawał się płynąć dziwnymi, nierównymi skokami. Przyjechała karetka oraz policja i gapie odsunęli się na bok. Pomyślałam, że teraz zdołam dostrzec ofiarę... i zobaczyłam...krótką migawkę, swoją własną nogę, swój otarty but ze złamanym obcasem.

- Nie - powiedział stojący przy mnie mężczyzna i położył rękę na moim ramieniu zanim zdołałam się poruszyć.

Jaskrawe światło błysnęło oślepiająco i znalazłam się w tunelu, błyskawicznie podążając za blaskiem, jedynym dźwiękiem był szum nieziemskiego, oszałamiającego pędu. Kosmiczna Góra, pomyślałam, ale to nie była żadna kolejka w

Disneylandzie.

Wszystko skończyło się równie nagle jak się zaczęło, czułam mdłości. Byłam dezorientowana i bez tchu; rozejrzałam się wokół, starając się ustalić, gdzie się znalazłam.

Mężczyzna wciąż luźno trzymał moje ramię, wyszarpnęłam mu je, potykając się odsunęłam się od niego. Byliśmy w lesie, na jakiejś pogrążającej się w ciemnościach polanie przy podnóżu klifu. Chore uczucie w żołądku zaczęło udzielać się reszcie mojego ciała.

Zrobiłam głęboki wdech. Wszystko tu było dziwne, jak filmowa dekoracja. Niby prawdziwe, ale wyglądało na sztuczne, nie czułam zapachu, ani żadnej faktury. To była tylko fałszywa iluzja.

Poruszyłam stopami i wtedy zdałam sobie sprawę, że wciąż jestem boso. Moje włosy spływały na ramiona, co nie miało sensu bo od zawsze nosiłam krótką fryzurę. Szarpnęłam za kosmyk i zobaczyłam, że zamiast delikatnych pasemek, miały zwykły brązowy kolor. Mimo, że wydałam fortunę próbując zmienić ich wygląd, miały taki sam zwykły brązowy odcień jak moje oczy. Moje ubranie też się zmieniło i bynajmniej ta zmiana nie była na plus. Obszerne, bezkształtne, bezbarwne, było tak atrakcyjne jak całun.

Walczyłam żeby przedrzeć się przez mgłę dezorientacji...czułam jakby mój umysł wypełniała wata. Coś było nie w porządku. Coś poszło bardzo źle.

- Nie walcz - powiedział z rezygnacją w głosie, stojący obok mnie mężczyzna. - To tylko wszystko pogorszy. Jeśli żyłaś dobrym i uczciwym życiem nie masz się czego obawiać.

Spojrzałam na niego z przerażeniem. Piorun rozciął niebo, po nim grzmot zatrzęsł ziemią. Powierzchnia rozciągającej się przed nimi litej skały zaskrzypiała, głębokim, rozdierającym dźwiękiem, który odbił się echem w niebiosach. Zaczęła się rozszczepiać, i przypomniałem sobie coś z chrześcijańskiej teologii o poruszających się skałach i powstającym z martwych Chrystusie. Jedyny problem był w tym, że byłam żydówką, tak samo jak przez większą część jej życia, moja fanatyczna niedawno nawrócona na chrześcijaństwo, matka, a przy tym byłam niepraktykująca.

Nie sądziłam, żeby chodziło tu o powstawanie z martwych. - Autobus - stwierdziłam kategorycznie. Walnął we mnie autobus. Nie żyję, nieprawdaż?

- Tak.

Powstrzymałam instynktowny dreszcz. Najwyraźniej nie był zwolennikiem amortyzowania ciosów. - A ty co tu robisz? Mr. Jordan? - kiedy spojrzałam na niego miał skonsternowaną minę. - Jesteś aniołem - wyjaśniłam. - Ktoś popełnił błąd. Wiesz, tak jak w filmie? Nie powinnam była umrzeć.

- Tu nie było mowy o żadnej pomyłce - powiedział i znowu wziął mnie pod rękę.

Ja, co było cholernie oczywiste, nie mogłam się zamknąć. - Jesteś aniołem? - domagałam się odpowiedzi. Nie wyczuwałam w nim anioła. Wyczuwałam w nim mężczyznę, wyraźnego, stuprocentowego samca i niby dlaczego, do cholery, nagle poczułam się czujna, żywa, pobudzona, skoro według niego byłam martwa?

Jego oczy były tajemnicze, półprzymknięte. - Tak jakby...między innymi.

Kopnięcie go w gołeń i bieg na złamanie karku wydawały się w tej chwili doskonałym planem, ale byłam boso i moje ciało nie było skłonne do współpracy. Mimo iż byłam zła i zrozpaczona, wciąż pragnęłam żeby mnie dotknął, nawet jeśli

wiedziałam, że nie będę miała z tego żadnej korzyści. Anioły nie uprawiały seksu, nieprawdaż? Nawet nie miały narządów płciowych, jeśli brać pod uwagę film „Dogmat.” Rzuciłam okiem na jego krocze, po czym błyskawicznie odwróciłam wzrok. Co ja do cholery robię, sprawdzam wyposażenie anioła, kiedy za chwilę mam umrzeć?

A, taaa, zapomniałam...ja już nie żyję. I w tym momencie cała moja wolna wola nagle wyparowała. Zaciągnął mnie w kierunku szczeliny w skalnej ścianie, a wtedy, z nagłą jasnością uświadomiłam sobie, że jeśli jak w tandetnym filmie, ona się za mną zamknie, to nie pozostanie żaden ślad, że kiedykolwiek żyłam. Jak tylko przejdę na drugą stronę wszystko się skończy.

- Tylko do tego miejsca mogę ci towarzyszyć - powiedział, swoim głębokim, ciepłym, brzmiącym jak muzyka głosem. I delikatnie ujmując moje ramię, popchnął mnie do przodu, wpychając do rozpadliny.

TŁUMACZENIE I BETA *wykidajlo*